

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

SAM

- A więc to jest to twoje magiczne miejsce – mruknął Cole. – Czy teraz założysz swój obcisły trykot?

Staliśmy przy tylnym wejściu do „Krzywej półki”, księgarni, w której czasami mieszkałem. Kiepsko spałem za sprawą burzy, a po rewelacjach minionego wieczoru nie miałem ochoty przychodzić do pracy, ale nie było mowy, żebym od ręki znalazł jakieś zastępstwo, więc poszedłem.

Musiałem przyznać, że normalność tej czynności w jakiś sposób kołata mój ogólny niepokój. Cóż, z wyjątkiem niepokoju o Cole’a. Co drugi dzień zostawiałem go samego, kiedy szedłem do pracy i za bardzo o tym nie myślałem. Jednak tego ranka, gdy się szykowałem, przypadkowo podniosłem wzrok, a wtedy zobaczyłem, że przygląda mi się w milczeniu. Zapytałem go, czy chce pójść ze mną. Jak dotąd nie zacząłem żałować swojej decyzji, ale dzień był jeszcze młody.

Cole, z włosami zmierzwionymi w artystycznym nieładzie, zerkał na mnie z podestu schodków, opierając ręce na barierce. W jasnym świetle poranka wyglądał rozbrajająco i swobodnie. Kamuflaż.

- Mój trykot? – powtórzyłem zdezorientowany.
- No wiesz, wdzianko superbohatera – wyjaśnił ze złośliwym uśmiechem Cole. – Sam Roth, wilkołak nocą, księgarz za dnia. Nie potrzebujesz do tego peleryny?
- Jasne – odpowiedziałem, otwierając drzwi. – Poziom czytelnictwa w tym kraju jest zatrwajająco niski. Potrzebuję peleryny, żeby sprzedać choćby książkę kucharską. Schowasz się na zapleczu, jeśli ktoś wejdzie, okej?
- Wątpię, żeby ktoś mnie rozpoznał w księgarni – zauważył Cole. – Czy front tego sklepu wygląda równie obskurnie co ty?

Wszystkie sklepy na Main Street dzieliły wspólną tylną uliczkę, zatłoczoną śmietnikami pomalowanymi sprayem, porośniętą chwastami, które wyglądały jak na wpół dojrzałe młode drzewka, i plastikowymi torbami zaplątanymi w pręty barierek przy schodach. Nikt tędy nie chodził poza właścicielami i pracownikami. Lubiłem to miejsce właśnie za jego opłakany wygląd. Panował tu taki chaos, że nie było sensu sprzątać.

- Nikt nigdy nie widzi tej części – powiedziałem. – Nie ma znaczenia, czy jest ładna.
- Zupełnie jak utwór numer sześć na płycie – mruknął Cole, śmiejąc się pod nosem z jakiegoś żartu, który tylko on sam rozumiał. – A więc jaki mamy plan, Stan?

Otworzyłem tylne drzwi.

- Plan? Muszę pracować do południa. Isabel powinna wpaść jakoś wcześniej, żeby opowiedzieć mi, czego się dowiedziała od zeszłego wieczoru. Potem założę ci torbę na głowę i pójdziemy na lunch.

Zaplecze było zagracone stosami papierów i pudeł czekających, aż ktoś je wyniesie na śmietnik. Nie byłem typem porządnika, a właścicielka księgarni, Karyn, miała swój tajemniczy system segregowania dokumentów, zrozumiała tylko dla niej samej.

Kiedy Grace po raz pierwszy zobaczyła ten bałagan, była naprawdę przerażona. Cole natomiast, zamyślony, wcale na niego nie zareagował, bezmyślnie oglądał nożyk do papieru, a następnie stertę gumowych zakładek do książek, podczas gdy ja włączałem światła.

- Odłóż je potem na miejsce – poprosiłem.

Podczas gdy wykonywałem zwyczajowe czynności związane z otwieraniem księgarni, on chodził za mną krok w krok, z rękami założonymi za plecami, jak dziecko, któremu nakazano, żeby niczego nie zepsuło.

Nie pasował do tego miejsca. Wyglądał jak wytworny, ale i agresywny drapieżnik spacerujący pośród zalanych słońcem półek, które w zestawieniu z nim nagle zaczęły się wydawać plebejskie.

Zastanawiałem się, czy to była świadoma decyzja – postawa, jaką sam sobie narzucił – czy też po prostu produkt uboczny osoby, którą rzeczywiście był. I łamałem sobie głowę, jak ktoś taki jak on – pogrążone w furii słońce – miał przetrwać w takim miejscu jak Mercy Falls.

Cole utkwiał we mnie uważne spojrzenie. Czułem dziwne skrępowanie, otwierając drzwi frontowe, włączając kasę i system nagłaśniający. Wątpiłem, żeby naprawdę umiał docenić estetykę sklepu, ale czułem też małe, przenikliwe ukłucie dumy, gdy zobaczyłem, jak się po nim rozgląda. Było tutaj tyle ze mnie.

Jego uwagę przykuły wyłożone wykładziną schody w głębi sklepu.

- Co jest na górze? – zapytał.
- Poezja i trochę rzadkich wydań – rzuciłem. „Oraz wspomnienia o mnie i Grace, zbyt przesywające, by w tej chwili na nowo je przeżywać” – pomyślałem.

Cole sięgnął po jakąś babską powieść wyeksponowaną na bocznej półce regału, przejrzał ją z roztargnieniem i odłożył. Był tu zaledwie pięć minut, a już odczuwał zniecierpliwienie. Zerknąłem na zegarek, żeby zobaczyć, za ile przyjdzie Karyn, żeby mnie zastąpić. Nagle cztery godziny wydały mi się wiecznością. Próbowałem wzbudzić w sobie ponownie ten filantropijny impuls, który kazał mi zabrać ze sobą Cole'a.

Właśnie wtedy, gdy odwróciłem się w kierunku lady, kątem oka dostrzegłem coś, co przykuło moją uwagę. To było jedno z tych przelotnych spojrzeń, które nie powinny niczego zarejestrować. Kiedy później się o nich myśli, człowiek jest zdumiony, że dostrzegł tak wiele w tak krótkim czasie i że coś, co powinno być tylko zamazana plama, wryło się w pamięć ostre niczym fotografia. A ta fotografia przedstawiała Amy Brisbane, matkę Grace, idącą wzdłuż okien księgarni w kierunku swojego studia. Szła sztywno, jak marionetka. Jedną rękę trzymała przy piersi, kurczowo ściskając pasek torebki, jakby się bała, że przy kolejnym kroku mogłaby spaść jej z ramienia. Miała na szyi zwiewny blady szal, a na twarzy maskę wypraną z emocji – wyraz, jaki przybierają ludzie, gdy chcą być niewidzialni. Zrozumiałem, widząc jej twarz, że już wie o martwej dziewczynie w lesie i że właśnie się zastanawia, czy to była Grace.

Powinienem jej powiedzieć, że nie.

Och, ale Brisbane'owie dopuścili się Tylku wykroczeń przeciwko mnie. Z łatwością mogłem przywołać wspomnienie pięści Lewisa Brisbane'a lądującej na mojej twarzy w szpitalnym pokoju. Albo tego, jak zostałem wyrzucony z ich domu w środku nocy. Albo tych dni, kiedy nie mogłem widywać Grace, bo nagle odkryli rodzicielskie zasady. Miałem tak niewiele, a oni i tak mi to odebrali.

Ale ten wyraz twarzy Amy Brisbane... Wciąż widziałem ją w myślach, mimo że już dawno minęła sklep. Powiedzieli Grace, że jestem tylko przelotnym romanssem.

Uderzałem pięścią w otwartą dłoń raz za razem, rozdarty. Byłem świadomy tego, że Cole mnie obserwuje.

Ta pusta twarz... Wiedziałem, że ja chodzę ostatnio z taka sama miną.

Sprawili, że ostatnie dni Grace jako człowieka były nieszczęśliwe. Przeze mnie.

Nienawidziłem tego. Nienawidziłem tego, że wiedziałem, czego chcę, i wiedziałem, co było właściwe, i wiedziałem, że to nie są te same rzeczy.

- Cole – rzuciłem. – Pilnuj sklepu.

Cole spojrzał na mnie, unosząc brew.

Boże, nie miałem ochoty tego robić. Gdyby odmówił, podjąłby decyzję za mnie.

- Nikt raczej nie przyjdzie. To potrwa tylko moment. Obiecuję.

Cole wzruszył ramionami.

- Nie krępuj się.

Wahałem się jeszcze jedną chwilę, żałując, że nie potrafię udawać, że zobaczyłem przez okno kogoś innego. Ostatecznie to była tylko twarz, na wpół ukryta za szalem, która mignęła mi przez sekundę. Ale jednak ją widziałem.

- Nie spal niczego! – krzyknąłem na odchodnym.

Otworzyłem drzwi i wypadłem na chodnik. Nagła jasność oślepiła mnie – słońce ledwie zaglądało przez okna sklepu, ale na zewnątrz zalewało blaskiem całą ulicę. Nadal mrużąc oczy, zorientowałem się, że matka Grace pokonała już niemal całą długość ulicy.

Pośpieszyłem za nią po nierównym chodniku. Musiałem wyminąć dwie damy w średnim wieku plotkujące nad parującymi kubkami z kawą, starszą panią palącą papierosa przed sklepem z odzieżą używaną, a w końcu kobietę pchającą podwójny dziecięcy wózek.

Biegłem, aż nazbyt świadomy tego, że Cole zajmuje się sklepem pod moją nieobecność. Matka Grace nawet się nie zatrzymała przed przejściem przez ulicę. Ja przystanąłem bez tchu na rogu, pozwalając przejechać furgonetce, aż w końcu dogoniłem Amy Brisbane w cienistym i pomalowanym na filetowo wejściu do jej studia. Z bliska matka Grace wyglądała jak liniejąca papuga – włosy uciekały jej spod opaski, jedną stronę bluzki miała krzywo wetkniętą w spódnicę, a szal, który widziałem wcześniej, niechlujnie zwisał jej z szyi.

- Pani Brisbane! – zawołałem urywanym głosem, z trudem łapiąc powietrze. – Proszę poczekać.

Nie byłem pewien, jakiej reakcji się spodziewałem, kiedy zobaczy, że to ja. Przygotowywałem się na wstręt albo na gniew. Ale ona patrzyła na mnie tak, jakbym był nikim. Może z lekką irytacją.

- Sam? – odezwała się po chwili, jakby musiała się zastanowić, jak mam na imię. – Jestem zajęta.

Grzebała przy zamku, nie mogąc go otworzyć. Po chwili porzuciła klucz, którego używała i zaczęła przekopywać torebkę w poszukiwaniu innego. Jej torebka była ogromnym, krzykliwym patchworkowym tworem, pełnym rupieci. Jeśli potrzebowałbym jakiegokolwiek dowodu na to, że Grace w niczym nie przypominała matki, ta torba by wystarczyła. Pani Brisbane nie patrzyła na mnie. Jej całkowita obojętność – jakbym teraz nie zasługiwał nawet na jej gniew ani podejrzliwość – sprawiła, że pożałowałem, iż wyszedłem z księgarni.

Cofnąłem się o krok.

- Po prostu pomyślałem, że może pani nie wiedzieć. To nie była Grace.

Tak gwałtownie podniosła głowę, żeby na mnie spojrzeć, że szal zsunął się do końca z jej szyi.

- Usłyszałem od Isabel – wyjaśniłem. – Culpeper. To nie była Grace, ta dziewczyna, którą znaleźli.

Mój przejaw miłosierdzia przestał mi się wydawać dobrym pomysłem, gdy uświadomiłem sobie, że ktoś nieco bardziej podejrzliwy bez trudu mógłby podważyć moją historyjkę.

- Sam – wycedziła pani Brisbane bardzo opanowanym tonem, jakby zwracała się do młodzieńca przyłapanego na kłamstwie. Jej dłoń zawisała nad torebką, z palcami rozwartymi i nieruchomymi jak u manekina. – Jesteś pewien, że to prawda?
- Isabel powie pani to samo – zapewniłem.

Zamknęła oczy. Przez chwilę czułem cień satysfakcji, widząc ewidentny ból, jaki odczuwała z powodu nieobecności córki. Ale potem poczułem się strasznie z tego powodu. Rodzicom Grace zawsze się to udawało. Sprawiali, że czułem się jak gorsza wersja samego siebie. Schyliłem się z zakłopotaniem, żeby podnieść szal.

Podałem go jej.

- Muszę wracać.
- Czekaj – zatrzymała mnie. – Wejdź na chwilę do środka. Masz parę minut, prawda?

Zawahałem się.

Odpowiedziała za mnie:

- Och, pracujesz... Oczywiście, że tak. Ty... zostawiłeś księgarnie specjalnie dla mnie?

Wlepiłem wzrok w swoje stopy.

- Naprawdę pani nie wiedziała?
- Nie wiedziałam – potwierdziła.

Zamilkła. Kiedy na nią spojrzałem, jej oczy były zamknięte, a ona pocierała podbródek skrajem szala.

- To straszne, Sam, że córka jakiejś innej matki jest martwa, a ja mogę się tylko cieszyć.
- Ja też – powiedziałem bardzo cicho. – Jeśli pani czuje się strasznie, to ja też, bo bardzo, bardzo się cieszę.

Pani Brisbane spojrzała na mnie wtedy – naprawdę na mnie spojrzała – prosto w moją twarz.

- Pewnie myślisz, że jestem złą matką.

Nic nie powiedziałem, bo miała rację. Złagodziłem to wzruszeniem ramion. To było jedyne, na co mogłem się zdobyć.

Popatrzyła na przejeżdżający samochód.

- Oczywiście wiesz, że mieliśmy potworną kłótnię z Grace, zanim ona... zanim zachorowała... O ciebie. – Zerknęła na mnie, żeby sprawdzić, czy wiem. Kiedy nie odpowiedziałem, wzięła to za „tak”. – Miałam mnóstwo głupich chłopaków, zanim wyszłam za męża. Lubiłam towarzystwo chłopców. Nie lubiłam być sama. Chyba myślałam, że Grace jest taka jak ja, ale ona tak naprawdę w ogóle w niczym mnie nie przypomina, prawda? Bo to, co jest między wami, to coś poważnego, zgadza się?

Stałem nieruchomo.

- Bardzo, pani Brisbane.
- Jesteś pewien, że nie chcesz wejść? Ciężko jest mi użalać się nad sobą tutaj, gdzie wszyscy na mnie patrzą.

Z niepokojem pomyślałem o Cole’u. Ale przypomniałem sobie ludzi, których mijałem po drodze. Żadnych p[otencjalnych klientów księgarni. Szanse, że chłopak włąduje się w kłopoty, wydawały się minimalne.

- Tylko na chwilę – zaznaczyłem.